

Kamiński, Ryszard

Nadzieja była naszym szańcem (2)

Przegląd Pruszkowski nr 2, 85-98

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nadzieja była naszym szańcem (2)

W numerze 1/93/ "Przeglądu Pruszkowskiego" zamieściliśmy wspomnienia Anny Kamińskiej z lat 1948 - 1956, kiedy to jej mąż - Ryszard Kamiński przebywał w więzieniu.

Przypominamy okoliczności aresztowania Ryszarda, żołnierza AK, który przebył w czasie Powstania Warszawskiego partyzancki szlak z Ostoi w Pruszkowie, poprzez Lasy Chlebowskie, Sękocińskie, Chojnowskie i Kampinos aż do Gór Świętokrzyskich. Grupa, w której znajdował się Ryszard, wróciła do Pruszkowa dopiero po upadku powstania w Warszawie. Wracając do Pruszkowa żołnierze AK zatrzymali się po drodze w gajówce w Lesie Chlebowskim, gdzie zakopali broń.

Broń ta po pewnym czasie została przeniesiona do domu państwa Rembalskich, teściów Ryszarda, gdzie w pierwszych latach po ślubie mieszkali Anna z Rembalskich i Ryszard Kamiński.

Przechowywanie tak niebezpiecznego ładunku we własnym domu, w czasach gdy szalała безпеka i za jedno nieopatrne słowo można było zapłacić latami więzienia, niepokoiło Annę. Ryszard obiecał jej więc, że broń tę zlikwiduje. Zaprosił na któryś wieczór trzech kolegów, powiadamiając Annę, że grać będą w brydża, a z chwilą zapadnięcia zmroku broń zostanie wyniesiona i utopiona w gliniankach. Anna przygotowała gościom kolację i położyła się wcześniej spać, co było zrozumiałe ze względu na stan jej zdrowia, miało bowiem przyjść na świat ich pierwsze dziecko.

Pozostawszy we własnym gronie, byli żołnierze Podziemia doszli do wniosku, że szkoda pozbywać się broni, zdobywanej z wielkim trudem, zawsze z narażeniem, a często za cenę życia. Zamiast więc utopić ją, jak to było poprzednio ustalone, ukryli broń pod stosem węgla w piwnicy domu przy ul. 3 maja 26, gdzie mieszkała rodzina Ryszarda. Fakt ten, jak się niebawem okazało, zaowocować miał tragicznymi dla całej rodziny skutkami, co zrelacjonuje sam Ryszard.

O broni ukrytej w piwnicy ciotki Kamińskiej wiedziało bardzo wąskie grono osób: Bogusz Donaj, Kazik Radwański, Piotr Śliwowski, Kazio Styczeń i ja. Broń tę postanowiliśmy zatrzymać, bo czasy były niepewne, nie było wiadomo jak potoczą się wypadki. Po upadku Powstania Warszawskiego wróciliśmy do konspiracji. Powstał tak zwany Kedyw Lotniczy.

Trwaliśmy w oczekiwaniu na rozwój sytuacji w Polsce, broń więc mogła się przydać.

Poza tym, będąc jeszcze w wojsku, do którego zostałem powołany w 1945 roku, przekazywałem Tadeuszowi Nowickiemu - "Orlikowi", naszemu byłemu dowódcy - informacje na temat organizacji armii, nastrojów wśród żołnierzy i tym podobne wiadomości.

Ostatnim wreszcie, już wręcz groteskowym grzechem, mogącym zagrażać "władzy ludowej", był stary, zardzewiały pistolet maszynowy, bardziej eksponat muzealny niż autentyczna broń, który przyniosłem kiedyś na spotkanie do Bogdana Kruszyńskiego. Ów PM był jednak przyczyną dotkliwych konsekwencji w stosunku do Bogdana. W trakcie rewizji w jego mieszkaniu broń tę znaleziono. Bogdan został aresztowany i choć po jakimś czasie zwolniono go, to jednak mógł pracować tylko jako pracownik fizyczny. Przedtem był księgowym.

Wszystkie te fakty stały mi przed oczami duszy, kiedy w nocy z 13 na 14 listopada 1948 roku wkroczyli do naszego mieszkania funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Mieszkaliśmy wówczas od dwóch miesięcy w domu moich krewnych, przy ulicy 3 Maja 26 w Pruszkowie. W piwnicy tegoż domu leżała pod stosem węgla wyniesiona z powstania broń.

Zabrano mnie na Komisariat w Pruszkowie, gdzie nastąpiła konfrontacja z Kazikiem Radwańskim, przywiezionym specjalnie na tę okoliczność z Warszawy. Nim jednak padło jakiegokolwiek pytanie, podszedł do mnie milicjant, z wyglądu wiejski parobek, i uderzył mnie w twarz. W trakcie konfrontacji nie przyznałem się do niczego, choć Kazik mówił, żebym oddał broń. Sądziłem, że widać powiedział "władzy ludowej" o tym starym pistolecie maszynowym, ale wówczas jeszcze milczałem.

Ponownie załadowano mnie do samochodu, który wrócił na ulicę 3 Maja po Hanię. Posadzono nas naprzeciw siebie, nie pozwalając rozmawiać. Pojechaliśmy do Warszawy. Tam, przy ulicy Cyryla i Metodego wysadzono Hanię. Mnie zawieziono do budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy zbiegu Koszykowej i Alei Ujazdowskich.

Zaczął się śledztwo. Przesłuchiwał mnie, między innymi, major - który jak się potem okazało - był jednocześnie dyrektorem Komitetu Drobnej Wytwórczości, "Pracowity" ten człowiek rano pełnił funkcję kierowniczą w Komitecie, wieczory zaś spędzał na przesłuchiwaniu więźniów.

Pierwszą rzeczą, jaka interesowała ubowców, była sprawa broni. Okazało się, że śledczy już wiedzą o broni z powstania przechowywanej przeze mnie. Jak na stosunki powstańcze był to wcale pokaźny arsenał: dwa karabiny maszynowe "Bren", pięć pistoletów maszynowych, granaty plastikowe i sporo amunicji. Przebieg śledztwa wskazywał niezbicie, że ubowcy doskonale orientują się, co przechowywałem. Obiecali mi też, że zwolnią

Hanię, jeśli tę broń odnajdą. Było to dla mnie sprawą pierwszej wagi, wiedziałem przecież, że Hania spodziewa się dziecka. Nie zaprzeczałem więcej. Załadowano mnie raz jeszcze na samochód i powieziono do Pruszkowa, aby zabrać ukrytą broń.

Przyjechaliśmy pod znany adres, zeszliliśmy do piwnicy. Odwaliłem stertę węgla stwierdziłem ku mojemu zdziwieniu i wściekłości ubowców, że broni nie ma!

Okazało się, że po moim aresztowaniu mój stryj broń tę wyniósł i utopił w gliniance. Pamiętał jednak miejsce gdzie to uczynił. Ubowcy spuścili wodę i broń wydobyli. Hanię zwolniono do domu, ja zaś powróciłem do piwnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na dalsze śledztwo.

Ciężkie śledztwo odbywało się tu w pokojach t.zw. operacyjnych. Mnie przesłuchiwało w dużym pokoju, przegrodzonym szafami na dwie części. W jednej z nich stało biurko, na nim przyrządy do przesłuchiwań: gumowe rękawice, pałka, pejcz lub pręt metalowy. Pod ścianą stał stołek dla przesłuchiwanego. W drugiej części pokoju pracowały kobiety, sekretarki czy kancelistki. Słysząc było ich rozmowy między sobą i przez telefon, śmiechy, brzęk szklanek, rozchodził się zapach parzonej herbaty i kawy. Te pogodne odgłosy mieszały się z krzykami, jękami i rozpaczliwym bełkotem bitych bez litości przesłuchiwanym. Kiedy przesłuchujący więźnia szafarze "sprawiedliwości" poczuli się zmęczeni, odkładali narzędzia "pracy" i udawali się celem odprężenia do pomieszczenia za szafami. Tam rozmawiali z paniami,relaksowali się i po chwili wracali. Nakładali rękawice i leli na nowo.

Oficerami UB byli młodzi ludzie, specjalnie wyszkoleni i podbudowani ideologicznie, wierzący w słuszność swego posłannictwa. Szczególnym okrucieństwem odznaczał się Polacy z Francji zatrudnieni w więziennictwie. Reemigranci przybyli do ojczyzny wyżywali się z niezwykłą zajadłością na więźniach - być może - za swoje upokorzenia na ziemi francuskiej.

Zresztą o więźniach politycznych mówiło się, że są to gestapowcy, konfidenci z czasów okupacji, bandyci i tym podobne. Śledczy na Koszykowej byli operatywni. Po zakończeniu wstępnego śledztwa odsyłali więźniów na Mokotów, do więzienia na Rakowieckiej. Trafiłem tam po miesiącu od chwili aresztowania, w dniu zjednoczenia partii, to jest 15 grudnia 1948 roku.

Na Rakowiecką zostałem przywieziony samochodem osobowym i osadzony w X pawilonie, na parterze. Dyrektorem Departamentu Śledczego MBP był wówczas pułkownik Józef Różański. Działał także cieszący się nie mniej ponurą sławą pułkownik Anatol Feigin, dyrektor Departamentu Operacyjnego.

Pawilon X był budynkiem starym. Na śledztwo prowadzili stąd przejściem podziemnym do pawilonu śledczego, nowowypbudowanego specjalnie dla celów śledztwa. W pawilonie X panowała zasada, że kiedy prowadzono kogoś na przesłuchanie, w korytarzu nikt nie śmiał być obecny. Dlatego strażnik eskortujący więźnia walił kluczem w kraty mijanych cel, co było sygnałem, że w tym czasie nikt nie ma prawa wyjść na korytarz. Śledztwo odbywało się we wspomnianym wcześniej pawilonie, a właściwie w jego podziemiu. Droga doń była bardzo uciążliwa, prowadziła raz z góry, raz pod górę.

Samo przesłuchanie przeplatane było katowaniem i zadawaniem wymyślnych tortur, o ile więzień nie chciał zeznawać w myśl z góry ustalonych założeń. Jedną z najdotkliwszych męczarni było zmuszanie do siadania na jednej nodze stołka. Oznaczało to, że więzień musiał pozostawać w głębokim przysiadzie, gdyż faktycznego siedzenia na nodze wywróconego do góry nogami stołka nikt by nie wytrzymał. Nogi mdlały z wysiłku, bolały nieznośnie, kręgosłup zdawał się pękać. Poza tym stosowano "pompki" aż do omdlenia, "żabki", stawanie w pozycji "na baczność" nie zezwalając na najmniejsze poruszenie, przez długie nieraz godziny. Kiedy te "gimnastyczne" metody nie dawały pożądanego rezultatu, przystępowano do metod bardziej radykalnych, jak bicie po piętach, walenie w splot słoneczny, zrywanie paznokci, lub słynne "ołówki". To ostatnie polegało na umieszczaniu między palcami ołówków, a następnie ściskanie dłoni. Przesłuchania tymi metodami trwały całą dobę. Często w nocy budziły nas krzyki i jęki torturowanych. Zwyczajnie stosowane w śledztwie przez UB nie różniły się od tych jakie były w zwyczaju Gestapo, były może nawet gorsze. Jednakże miały jeden plus w porównaniu z praktyką okupantów niemieckich: jeśli tylko więzień nie wyzionął ducha w czasie śledztwa, czekał go proces, rozprawa sądowa, która dawała iskierkę nadziei. Można było czasem uzyskać zmianę kwalifikacji czynu, a co za tym idzie zamianę kary śmierci na dożywocie lub długoterminowe więzienie. Potem może zawsze przyjść jakaś amnestia, zmniejszenie kary i tak dalej. To podtrzymywało ludzi na duchu. Tą nadzieją ludzie żyli. Wierzyli, że posiedzą najwyżej dwa - trzy lata i wyjdą, bo to musi się zmienić, to nie może trwać długo. Ci, którzy tę nadzieję stracili - ginęli. W warunkach w jakich przyszło nam egzystować, przekonałem się, że najważniejszym bodźcem trzymającym człowieka przy życiu jest nadzieja. Nie na darmo Dante umieścił na wrotach piekła napis: "Porzućcie wszelką nadzieję".

Żyliśmy więc nadzieją, mimo całego koszmaru przesłuchań, jakim byliśmy poddawani. Ludzie znosili to rozmaicie. Zauważyłem, że kobiety w śledztwie zachowywały się inaczej niż mężczyźni. Albo mówiły od razu wszystko, albo nie mówiły nic, pomimo najcięższych męczarni, jak bicie po

piersiach, przypalanie ogniem i innych tortur zaczerpniętych z repertuaru Gestapo.

Z mężczyznami było różnie, bo też nikt nie jest w stanie przewidzieć, określić z góry swojej odporności na ból. Niesłychane okrucieństwo, stosowane w śledztwie, potrafiło załamać człowieka, zmienić go w strzęp, lachman bezbrzeżnego bólu, którego jedynym pragnieniem jest, aby choć na chwilę przestało tak cholernie boleć! Podpisywali więc, półprzytomni, wszystko co im podsunęto. Stąd zdarzali się tacy, którzy mieli po dwa, nawet trzy wyroki śmierci. Wyroki wykonywano na ogół szybko, ale pamiętam jednego ze współwięźniów, starszego już pana, sędziego z zawodu, zamieszanego w sprawę wileńską. Miał już za sobą rozprawę, skazano go na śmierć, a mimo to wciąż jeszcze wzywano na ciężkie śledztwo. Żał mi go było, bo człowiek młody jest bardziej elastyczny, ma szybszy refleks, może choć trochę zneutralizować ciosy. Ze starszymi jest o wiele gorzej. Nie wiem co się z nim stało, nigdy nie miałem możliwości dowiedzenia się o jego dalszych losach.

Bardzo ciężkie śledztwo miał także Niepokólczycki. Nie mogąc wytrzymać zadawanych mu tortur, prowadzony przez klatkę schodową, wyskoczył z drugiego piętra na asfalt. Nie zabił się jednak, ale mał pogruchotane wszystkie kości rąk i nóg. Poskładał mu je lekarz więzienny, z pochodzenia Czech, który pełnił funkcję lekarza więziennego także w Oświęcimiu i stąd więziony był na Mokotowie. Niepokólczycki po dojściu do zdrowia podpisał wszystko co mu podsunęto. Władze więzienne zarządziły wkrótce założenie siatek ochronnych między piętrami.

Na mokotowskiej "dziesiątce" spotkałem także Adama Doboszyńskiego, kontynuatora idei Romana Dmowskiego w Stronnictwie Narodowo Demokratycznym. Była to postać bardzo ciekawa. Życzliwy dla ludzi, inteligentny, wykształcony - ukończył studia na Politechnice Gdańskiej i na Sorbonie - prowadził z nami długie, ciekawe rozmowy. Zawsze wyrażał się z wielkim uznaniem o marszałku Piłsudskim, choć był jego przeciwnikiem politycznym. Doceniał jednak patriotyzm Marszałka, jego ofiarność i bezinteresowność w służbie narodu. Podkreślał zalety jego serca i umysłu, a także walory męża stanu. Jedyne zastrzeżenie pod adresem Piłsudskiego dotyczyło przewrotu majowego w 1926 roku. Wysoko oceniał również postawę żony i córek Marszałka na emigracji. Mawiał, że byłoby dobrze, gdyby żony innych polskich prominentów sanacyjnych zachowały na emigracji choć połowę ich godności.

Pan Doboszyński przyjechał do Polski pod przybranym nazwiskiem "profesor Wiącek, żeby zbadać możliwość legalnego działania Stronnictwa Narodowego w powojennej ojczyźnie. Odpowiedzi w interesującej go sprawie udzieliła mu niebawem "władza ludowa", aresztując jego i wielu

byłych innych członków tego stronnictwa. Został zatrzymany w mieszkaniu Kazimierza Iłowickiego, bratanka byłego fabrykanta słodyczy. Choć Kazimierz Iłowicki nie miał nic wspólnego z misją pana Doboszyńskiego, za sam fakt dzielenia z nim przez jakiś czas mieszkania został skazany na karę kilku lat więzienia.

Któregoś dnia pan Adam, będący człowiekiem głęboko wierzącym, opowiedział nam swój sen. Śniło mu się, że schodzi schodami gdzieś głęboko pod ziemię i widzi naprzeciw, na tle jasnej ściany, postać Pana Jezusa, rozkładającego ramiona jakby na powitanie.

- Chyba mnie rozstrzelają - skomentował swój sen.

Pocieszaliśmy go, że jeszcze nic nie wiadomo, że przecież dopiero czeka na rozprawę i nie wiadomo, jaki zapadnie wyrok. Sen jednak okazał się proroczy. Skazano go na karę śmierci i został zamordowany w lochu więzienia mokotowskiego, co nazywało się "wykonaniem wyroku". Wszyscy boleśnie odczuliśmy śmierć tego człowieka, zacnego, przyjacielskiego, prawego Polaka, szanowanego i lubianego przez współtowarzyszy niedoli.

Morderstw - bo trudno to inaczej nazwać - usankcjonowanych ówczesnym prawem, dokonywał zawsze ten sam strażnik. Nazywaliśmy go "Poniatowski", bo nosił długie, czarne baki, wysoki, szczupły brunet zawsze pijany. Sprowadzał on skazanego do piwnicy, czegoś w rodzaju głębokiej ziemianki. W pewnym momencie strop stawał się tak niski, że idący przodem człowiek musiał pochylić głowę. Oprawca strzelał mu wówczas w potylicę.

Nie wszyscy jednak - na szczęście - mieli kontakt z "Poniatowskim". Wielu było skazanych jedynie na dłuższy lub krótszy pobyt w więzieniu. Powód skazania był nieraz nieprawdopodobny w normalnie funkcjonującym państwie, nieraz wręcz śmieszny.

Charakterystyczny dla tamtych czasów przypadek, to sprawa inżyniera Tolkemita, który nadzorował w budynku Rady Państwa urządzenia grzejne. Trzeba pecha, że w dniu kiedy składał tam wizytę Bierut, puścił zawór w kotle centralnego ogrzewania. Biedny inżynier nie miał z tym wypadkiem nic wspólnego, takie rzeczy zdarzają się wszędzie, ale zakwalifikowano to jako sabotaż i pan Tolkemit poszedł na odsiadkę.

W celach był zwyczaj, że każdy, kto dostawał paczkę, dzielił ją między swoich kumpli. Więźniowie w celach trzymali się grupami i wszelkie dobra dzielili w obrębie grup solidarnie i równo.¹

1/ Zwyczaj dzielenia się zawartością paczek wprowadził Ryszard Kamiński, sam często otrzymujący paczki. Zwierzyła się z tego Redakcji jego żona. W poczuciu rzetelności dziennikarskiej podajemy to do wiadomości. Jest to jedyny przypadek działania Redakcji wbrew woli Ryszarda.

Na Mokotowie, jak wspomniałem uprzednio, siedziałem najpierw w pawilonie X. Był to budynek trzykondygnacyjny: parter i dwa piętra. Piętro trzecie, nadbudówka, to był już pawilon XI. W obydwu tych pawilonach siedzieli więźniowie przed rozprawą, były to tak zwane pawilony śledcze. Warunki były jednak o wiele lepsze na dziesiątce, bo cele tam były skanalizowane. Można więc było czerpać wodę z muszli klozetowej do mycia, bo innej wody nie było. Prócz tego pobyt w celi skanalizowanej stwarza komfort, jakiego brak w celach z kiblami, gdyż po wyczerpaniu wody z muszli, można było rozmawiać przez rurę kanalizacyjną z mieszkańcami cel niżej i wyżej położonych. Nic jednak nie trwa wiecznie. Z "luksusowej" dziesiątki przeniesiono mnie do jedenastki. Cele tam były małe, tak zwane "pojedyńki", lecz wówczas siedziało tam po kilka osób, w trudnej do opisanego ciasnocie. W każdej celi stał kibel, opróżniany tylko jeden raz w ciągu dnia. Spaliśmy podobnie zresztą jak na dziesiątce - na asfalcie, na cienkich siennikach ze startą na sieczkę słomą.

Jedyne urozmaicenie na jedenastce zawdzięczaliśmy temu, że obok nas była cela kobieca. Więźniarki często śpiewały, słuchaliśmy z przyjemnością tych zaimprovizowanych recitali, ale - niestety - śpiew w celach należał do rzeczy surowo zabronionych i kiedy babki koncertowały, zjawiali się obsługujący cele Niemcy i przez kratę wlewali wodę. Śpiew ustawał na jakiś czas, ale gdy tylko woda obeschła, śpiewaczki podejmowały swą działalność wokalną na nowo.

Wyjaśniam przy okazji, że obsługę cel na Mokotowie stanowili Niemcy - żandarmi i SS-mani, też więźniowie, ale z racji pełnionych funkcji mający o wiele lepsze warunki i lepiej traktowani niż więźni Polacy.

Chwile wytchnienia, relaksu, pewnego odprężenia stanowiły w życiu więźniów rozmowy. Rozmawialiśmy zarówno bezpośrednio z mieszkańcami celi, jak również za pomocą pukania w ściany alfabetem Morse'a. Można było tym sposobem wymienić nie tylko spostrzeżenia i myśli, ale także - co o wiele ważniejsze - kontaktować się w sprawach dotyczących śledztwa. Było to rzecz jasna zabronione, ale strażnicy byli bezsilni, gdyż całe budynki więzienne grzmiały w nocy od podłóg po sufity bezustannym pukaniem.

Taka rozmowa Morse'a była przyczyną odmiany życia dwojga ludzi: mężczyzny skazanego na śmierć i kobiety, która siedziała w sąsiedniej celi. Nie wiadomo, kto do kogo pierwszy zastukał, faktem było, że mężczyzna był załamany perspektywą utraty życia. Dzięki kontaktowi ze swą sąsiadką, odzyskał nadzieję. Kobieta potrafiła pocieszyć go, natchnąć optymizmem, skierować myśli ku jaśniejszym horyzontom. I w ten sposób narodziło się ich uczucie. zakochali się w sobie, choć nigdy nie widzieli się, nie mieli pojęcia o swoim wyglądzie. Mężczyzna postanowił zobaczyć swoją uko-

chaną za wszelką cenę. I zobaczył ją. Wpadł na prosty i skuteczny sposób: powracając ze śledztwa zatrzymał się przed drzwiami celi owej kobiety. Strażnik przekonany, że więzień stoi przed swoją celą - otworzył drzwi. Wtedy się ujrzeli, nareszcie. Więzień został zbesztany przez strażnika, ale co zobaczył. Kobieta okazała się młoda i ładna, on także był przystojny, ich miłość zyskała więc na sile. I to tak dalece, że kiedy wyszli już na wolność, kobieta nie wróciła już do swego męża i kilkuletniego synka, lecz ze swym sąsiadem z więzienia wyjechała do Włoch.

Tak więc mimo wszystkich ograniczeń, regulaminów i okrucieństwa życia więziennego, uczucia zamkniętych tu ludzi pokonywały wszystkie te bariery i dochodziły do głosu. Podobnie działo się w czasie świąt, zwłaszcza Bożego Narodzenia. Ich niepowtarzalna atmosfera wyciskała tży z oczu najbardziej zatwardziały. Wszyscy też świętowali je, na ile pozwoliły warunki. Był wśród nas, więźniów, ksiądz obrządku greckokatolickiego. Opłatek przysyłały rodziny w paczkach, także z paczek pochodziły rodzynki, z których produkowaliśmy wino mszalne. Odprawiała się więc uroczysta msza święta, pełniący role ministrantów dzwonili łyżkami. Dławiły nas tży tęsknoty za domem, za najbliższymi, lecz mimo wszystko czuliśmy się podniesieni na duchu, złączeni myślą z tymi, którzy oczekują naszego powrotu. Muszę tu dodać, że organizatorami tych nabożeństw, a także innych okazjonalnych uroczystości byli przedwojenni złodzieje. Mimo swego niechwalebego fachu, byli to ludzie o niesamowitych wprost talentach organizacyjnych i godnej podziwu zaradności. Potrafili wyczarować wszystko z niczego. Cieszyli się stąd, trzeba to przyznać, sympatią i swego rodzaju uznaniem.

Jak więc widać, staraliśmy się - w miarę nader skąpych możliwości - wprowadzić w naszą więzienną egzystencję jak najwięcej elementów normalnego życia na wolności.

Marzenie o wyjściu na wolność towarzyszyło nam stale, także tym spośród nas, których skazano na śmierć. Nawet tacy starali się przechrzyć swój los. Najlepszym tego przykładem była grupa majora "Zapory" z Lubelskiego. Było ich - o ile pamiętam - dziewięciu. Wspaniali chłopcy, dwudziestoparoletni, energiczni i niepoddający się rezygnacji. Oni to właśnie wymyślili plan ucieczki z więzienia mokotowskiego. Plan, który miał realne widoki powodzenia. Siedzieli w pawilonie ogólnym, w celi śmierci na drugim piętrze, gdzie na powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych przebywało mniej więcej dziewięćdziesiąt osób. Panował tam niebywały tłok. Cella ta, pamiętająca jeszcze czasy cara Mikołaja, była wysoka na cztery metry i skanalizowana. Róg celi, gdzie znajdował się klozet, oddzielało od reszty sali coś w rodzaju przepierzenia, obitego blachą i wysokiego na mniej więcej dwa metry. Major "Zapora" ("cichociemny" -

zrzucony do Polski z Zachodu), jak pozostali członkowie jego grupy, mieli wyroki śmierci. Jedynym wyjątkiem był Siła - Nowicki - inspektor okręgu lubelskiego. Dzięki koneksjom rodzinnym jemu jednemu zamieniono wyrok śmierci na dożywocie, czy długoterminowe więzienie, nie pamiętam już tego.

Pozostali nie mieli więc nic do stracenia. Wymyślili plan ucieczki, w zasadzie bardzo prosty, lecz jego realizacja wymagała przysłowiowego łuta szczęścia, jak również zręczności graniczącej z cudem. W nocy, kiedy wszyscy współwięźniowie zasnęli, wchodzili na owe przepierzenie i pracowicie dłubali otwór w suficie. Musieli do tej czynności stawać na ramionach kogoś z kolegów, bo - jak wspominałem - cela była wysoka. Musieli też zachowywać się cicho, żeby nie zbudzić śpiących współwięźniów, a także usuwać skrętnie ślady swojej nocnej "działalności". I udało im się zrobić potrzebny otwór w suficie, przez który mogli dostać się na strych, co sprawdzili robiąc pewnej nocy "próbę generalną". Ze strychu mieli dostać się na dach a stamtąd wędrować przez dachy coraz niższych budynków więziennych, by wreszcie z odpowiednio niskiego zeskoczyć na Rakowiecką. Czekali tylko na sposobną chwilę, to jest na dzień niepogody, gdyż po przeciwnej stronie Rakowieckiej, w budynku pod arkadami, był ustawiony karabin maszynowy i reflektory. Tylko pochmurna, deszczowa i chmurna noc dawała im szansę powodzenia. Jednakże dni były pogodne, noce jasne, musieli więc czekać. Zgubiło ich to, że czekając na stosowną pogodę, dopuścili do tajemnicy pospolitego przestępcę, także skazanego na karę śmierci. I ten ich wydał, prawdopodobnie za cenę darowania życia. Wspaniałych chłopców majora "Zapory" i jego samego natychmiast przeniesiono na pierwsze piętro i szybko wykonano najwyższy wymiar kary. Taki był kres grupy operacyjnej majora "Zapory", działającej - jak wspominałem - w Lubelskiem. Schwymano ich w czasie próby ucieczki przez granicę z Czechosłowacją. Nie mieli więc ci chłopcy szczęścia do ucieczek, co znalazło swój tragiczny finał na Rakowieckiej.

Czas płynął. Zbliżał się dzień mojej rozprawy. Głównym zarzutem, zawartym w akcie oskarżenia, była przynależność do nielegalnej organizacji, posiadanie arsenału broni i szpiegostwo na rzecz rządu londyńskiego. Groziła mi kara śmierci. Moje szpiegostwo polegało na tym, że udzielałem informacji na temat armii Tadeuszowi Nowickiemu, mojemu byłemu dowódcy, o czym już wspominałem. Nowicki, Czyli "Orlik", robił z nich notatki, które przechowywał w swoim mieszkaniu. Notatki te wpadły w ręce ubeków podczas rewizji w momencie aresztowania Nowickiego. Wiedzano też o przechowywanej przeze mnie broni

Sprawa broni wyszła na jaw po aresztowaniu innego mego kolegi, Kazika Radwańskiego. Był on wówczas studentem wydziału prawa Uniwer-

stytutu Warszawskiego. Na swym wydziale Kazio prowadził ożywioną działalność konspiracyjną, mógł łatwo zwrócić na siebie wagę szpicli, jakimi "władza ludowa" nafaszerowała całe polskie społeczeństwo, zwłaszcza środowiska młodzieżowe. I tak też się stało. Pewnego dnia Kazik spotkał się na Nowogrodzkiej, przed kinem "Roma" ze swym kolegą, który prosił go o to spotkanie. Jak się potem okazało, UB już dawno rozpracowało działalność Kazia na Wydziale Prawa, dzięki zeznaniom szpicli obserwujących każdy jego ruch, a których on uważał za swoich przyjaciół. Kolega, z którym Kazik spotkał się na Nowogrodzkiej, wręczył mu po krótkiej rozmowie pistolet i szybko się pożegnał. W tym momencie zjawili się ubecy i Kazio Radwański został aresztowany. Dopóki mógł, dopóki był w stanie znosić zadawane mu tortury, wypierał się swej działalności. Lecz wytrzymałość każdego człowieka ma swoją granicę. Potwornie katowany przyznał się do wszystkiego.

Ja sam, będąc w śledztwie, wypierałem się początkowo zarówno przynależności do Kedywu Lotniczego, jak do przechowywania broni. Szybko jednak zorientowałem się, że śledczy wiedzą wszystko. Zastanawiałem się, kto mógł być ich informatorem. dziwiłem się też, dlaczego Kazik przyznał się do stawianych mu zarzutów. Dopiero w drodze na rozprawę, kiedy dowiedziałem się, że Kazia tak bestialsko bili, że znosili go na przesłuchanie na noszach, zrozumiałem jego tragedię. Kazik był bohaterem.

Po blisko rocznym śledztwie wyznaczono mi wreszcie termin rozprawy, która odbyła się przed Rejonowym Sądem Wojskowym przy ulicy Koszykowej. Przewodniczył major Widaj, przedwojenny prawnik. Towarzyszyło mu dwóch ławników.

Bardziej jednak niż osoba sędziego, interesowały nas rodziny, nie widziane przez prawie rok. Hania, moja żona, przyniosła na rozprawę naszego synka, mojego pierworodnego Włodzimierza. Wówczas to zobaczyłem go po raz pierwszy. Miałem też możliwość przekonać się, kto prócz mnie jest oskarżonym w tym procesie.

Przewód sądowy trwał kilka dni. Z jego przebiegu można było wywnioskować, że wyroki jakie mają zapaść, są już dawno z góry ustalone. Miałem szczęście, że mojemu obrońcy udało się uzyskać inną kwalifikację mojego "przestępstwa". Dzięki temu, że przekazywane przeze mnie wiadomości dotyczące wojska nie były przekazywane dalej, zasądzono mnie już nie z artykułu 7 (szpiegostwo), lecz z artykułu 10 - dostarczanie informacji. Wyrok brzmiał: 12 lat więzienia.

Zaczęła się nowa epoka mego więziennego życia. Od 10 września 1950 roku przebywałem już w pawilonie głównym na pierwszym piętrze w celi 31, potem w celi 33. Cele o numerach 33, 34, i 35 - to były cele śmierci. Nie

wszyscy jednak ich lokatorzy byli skazani na śmierć, siedzieli tam także czekający na rozprawę i skazani na więzienie.

Tam również poznałem wielu ciekawych ludzi. Było to zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę środowisko, jakie było przede wszystkim penetrowane przez UB. Nadto we wspomnianych celach śmierci siedziało po mniej więcej dziewięćdziesiąt osób, zatem był tam pełny wachlarz typów, warstw społecznych, poziomu i tak dalej. Zetknąłem się tam, między innymi, z Wiesławem Chrzanowskim, późniejszym marszałkiem Sejmu. Jest to człowiek wielkiej kultury i wielkiego serca. Dzieliliśmy także celę z Andrzejem Leśniewskim - asystentem na Wydziale Prawa Uniwersytetu warszawskiego, profesorem Szymonem Poradowskim - antropologiem z Uniwersytetu Wrocławskiego. Był także między nami pan Mieczysław Pszon, który był potem bliskim współpracownikiem Tadeusza Mazowieckiego; wówczas miał on wyrok śmierci. Pamiętam też Alojzego Targa, wybitnego znawcę problemów Śląska, który był zamieszany w sprawę Adama Doboszyńskiego. Do grona współwięźniów należał też, wspomniany już wcześniej Kazimierz Iłowicki, pan Władysław Gałka, z którym siedziałem potem w Rawiczu i wielu innych, o których pamięć, po przeszło czterdziestu latach, już się zatarła.

Pamiętam jednak postać dość niezwykłą, nawet w tak bogatym i różnorodnym zbiorowisku postaci, jakim było więzienie mokotowskie. Był to mianowicie profesor unikalnej specjalności: wykładowca i swoisty "cechmistrz" sztuki złodziejskiej. Osobistość niedostępna w normalnych warunkach dla szerszego grona ludzi spoza klanu.

Był to złodziej przedwojenny, mający w swoim środowisku wysoką rangę, obiektywnie facet o dobrych manierach, ujmującym sposobie bycia, cieszący się na terenie więzienia, u współmieszkańców celi, dużą sympatią. Jego profesja, której bynajmniej nie ukrywał, budziła zrozumiałe zainteresowanie ludzi spoza klanu. Opowiadał on z goryczą, że powojenni złodzieje to bandziory, przynoszący wstyd przedwojennym fachowcom.

- Panowie - mówił z przejęciem - jak przed wojną moje chłopaki szły na robotę, to wyjmowali z kieszeni wszystko, co mogłoby ewentualnie służyć do zadania ciosu, jeśli doszłoby do rękoczynów. A już o uszkodzeniu cielesnym władzy, czyli policjanta, mowy być nie mogło!

- Ja miałem taką honorową umowę z policją, że chłopaki nie będą obrabiać zagranicznych gości, zwłaszcza tych z dyplomacji - ciągnął swe wspomnienia mistrz złodziejskiego fachu. - Ale trafiło się raz, że przychodzi do mnie policjant i mówi: granda, jak pan dotrzymujesz słowa? Obrobiliście gościa z zagranicy! -

Szlag mnie trafił, bo nie tolerowałem takich numerów.

Panie władzo - mówię - to nie moje chłopaki. Jutro będziesz miał pan wszystko dostarczone. -

I rzeczywiście, wszystko, co podgrandzili odniesione było na posterunek. A robotę zrobiły szczeniaki, głupie palanty. Ale dostali za to taki wycisk, że prababcia im się pewnie przyśniła! A ci co teraz, po wojnie pracują w naszym fachu, to bandziory, ludzi kaleczą, zabijają, dranie! To już nie to, to wszystko idzie do złego!

W pawilonie ogólnym siedziało masę młodych ludzi. Część z nich za to, że walczyli z Niemcami, a później nie złożyli broni, w nadziei, że zdołają przywrócić Polskę w kształcie, jakiego pragnęła olbrzymia większość narodu. Byli tutaj także tacy, którzy w ogóle nie działali, ale zetknęli się w takich, czy innych, okolicznościach z walczącymi o Polskę zgodnie ze swoją wizją. Więc "profilaktycznie" wsadzono i ich.

Był na przykład, kolejarz, który siedział za to, że na dworcu udzielił informacji szpiegowi. Polegało to na tym, że kolejarz ów został zagadnięty przez nieznanego faceta, o której odchodzi jakiś pociąg. Kolejarz odpowiedział, co okazało się fatalne w skutkach, bo owego nieznanego wsadzili za szpiegostwo.

Szpiegostwo było, można powiedzieć, ulubioną kwalifikacją przestępstw w tamtych latach. Szpiegostwem nazywano kontakty, choćby najbardziej przypadkowe, z działaczami rządu londyńskiego, szczególnie pecha mieli krewni takich ludzi, a nawet ich przyjaciele czy znajomi. Już samo posiadanie rodziny, bliższej czy dalszej, na Zachodzie było właściwie przestępstwem, które nader często znajdowało finał w celi na Rakowieckiej.

Cela 33, ostatnia gdzie siedziałem po wyroku do chwili wywozu do Rawicza, była - jak wspomniałem - jedną z cel śmierci. W czasie mojego tam przebywania raz tylko byłem świadkiem wyprowadzenia młodego człowieka na wykonanie wyroku. W momencie, kiedy wyprowadzano go z celi, zapanowała cisza, bo wiedzieliśmy wszyscy, że widzimy go po raz ostatni w życiu.

Takich, których mogli w każdej chwili zabrać na ponury mord, było tu więcej, choć - na szczęście - nie wszyscy. Sporo spośród nas czekało na rozprawę, inni na rezultat wniesionej prośby o zmianę wyroku śmierci na dożywocie lub dłuższe więzienie.

Byli też i tacy, którzy nie mogli liczyć na zmianę kwalifikacji czynu i zamiarnej najwyższego wymiaru kary na łagodniejszy.

Należał do takich - na przykład - młody człowiek, żołnierz Armii Krajowej, komórki egzekucyjnej. W czasie okupacji niemieckiej wykonał on tyle wyroków, że zabicie człowieka nie stanowiło dlań żadnego problemu. sam o sobie mówił, że jego powinni leczyć, a nie sądzić. Miał żonę i małe

dziecko. Widząc, jakie spustoszenie w gronie akowców sieje UB, postanowił wraz z kolegą uciekać za granicę. Brak im było jednak koniecznych funduszy. Dostali cynk, że w willi zamieszkiwanej przez III sekretarza Ambasady Angielskiej w Milanówku, nie ma nikogo. Postanowili więc dostać się tam i zrabować pieniądze. Okazało się jednak, że sekretarz Ambasady był obecny w domu, bojąc się rozpoznania, zabili go. Zostali aresztowani i skazani na karę śmierci.

Z celi 33 pamiętam także innego młodego człowieka nazwiskiem Śliwiński, imienia nie pamiętam. Był to lotnik, w randze chyba porucznika, biorący swego czasu udział w bitwie o Anglię. Ożenił się tam z Angielką i po zakończeniu wojny wraz z żoną przyjechał do Polski. Zarówno on jak jego żona zostali oskarżeni o szpiegostwo, aresztowani i osadzeni na Mokotowie. Tam jego żona urodziła dziecko. Jego - o ile mi wiadomo - skazano na karę śmierci i wyrok wykonano. Jego angielska żona wraz z dzieckiem wróciła po jakimś czasie do Anglii.

Sporą grupę w celi 33 stanowili członkowie Stronnictwa Narodowego, których uważano za zamieszanych w sprawę Adama Doboszyńskiego.

Jak już wspominałem, życie codzienne w celi upływało na "spacerach", a właściwie dreptaniu po tej skąpej powierzchni w granicach czterech więziennych ścian i rozmowach. Po wyroku były wprowadzane możliwe widzenia, lecz odbywały się one w sposób niemożliwy do przyjęcia. Pomieszczenie, gdzie się one odbywały, było wzdłuż dwóch równoległych ścian przegrodzone siatką tak, że między dwoma ogrodzonymi częściami sali był szeroki na mniej więcej metr korytarz. Wzdłuż tego "korytarza" przechadzał się stale strażnik. Wpuszczano po kilka osób odwiedzających i po tyłu odwiedzanych. Jednych od drugich oddzielała szerokość prawie metrowa, a każdy chciał być słyszany, dowiedzieć się czegoś, coś przekazać. Panował więc taki wrzask, że nie słyszało się własnego głosu. W dodatku prawie natychmiast po wprowadzeniu, zaledwie w kilkanaście sekund, zabierano więźnia z powrotem.

Można było dostawać z domu paczki, ale te były częściowo szabrowane przez strażników. Byli wprawdzie i strażnicy uczciwi, ale samo istnienie grupy o złodziejskich instynktach wyrządzało dostatecznie dużą krzywdę więźniom.

Byłem także ofiarą - zresztą bez żadnych przykrych komplikacji - nieporozumienia. Byłem już po rozprawie, kiedy wezwano mnie jako świadka w sprawie jednego z braci Kwasiborskich. Rodzina ta była znana na terenie Pruszkowa, więc kiedy sędzia spytał mnie:

- Czy znał pan obywatela Kwasiborskiego?

- Tak, znałem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Co pan wie o sprawie?

- Jak to nic nie wiecie?

W tym momencie doznałem olśnienia.

- A czy nie chodzi tu o mego stryja, noszącego nie tylko to samo nazwisko, ale również to samo imię? -

- To nieważne! - zawyrokował sędzia, ale na tym się skończyło. Było to jednak jakieś urozmaicenie w monotonnym życiu więziennym. W dodatku dość wesołe. Ale nie brakowało też momentów przygnębiających. Do tych ostatnich należał widok z okna celi na przejeżdżające ciężarówki wyładowane trumnami. Całe stopy trumien. Dawało to pojęcie o ilości wykonywanych wyroków śmierci.

Budziło to zrozumiałą grozę tych, którym groził najwyższy wymiar kary. A było ich sporo - mniej więcej około trzydziestu procent składu osobowego każdej celi. Czekający na zamianę kary palacze składali bardzo często ślubowanie, że jeśli darowane będzie im życie, nie wezmą papierosa do ust. Wiadomo jednak, że natura ludzka jest ułomna i wielu z tych ślubujących, po uzyskaniu upragnionego złagodzenia kary, pod łada pretekstem zaczynało kurzyć na nowo. Inni, którzy zamiany kary nie otrzymali, czekali na wykonanie wyroku nierzadko po kilka lat, zżywając się powoli ze świadomością mającej przyjść barbarzyńskiej śmierci.

Dożycie było uważane za wyraz łaski, gdyż nikt wówczas jeszcze nie wierzył, że dokona swych dni w więzieniu. Wszyscy z nadzieją patrzyli na Zachód, że stamtąd przyjdzie dla Polski upragnione wyzwolenie, że to nie może trwać długo. Cóż - Polacy, choć na przestrzeni swych dziejów niejednokrotnie oszukiwani przez "sojuszników", "aliantów" i protektorów z Zachodu, uparcie pokładali w nich nadzieję. Widać człowiekowi jest to nieodzowne w sytuacji praktycznie bez wyjścia. "Contra spem - spero" - wbrew nadziei, nadziei nie tracę - jak mawiali starożytni. I jest w tym może jakaś życiowa filozofia.

Po mniej więcej rocznym od chwili wyroku pobycie na Mokotowie przewieziono mnie do Rawicza. Jechaliśmy koleją, specjalnymi wagonami, tak zwanymi "więźniarkami". Były to wagony o małych, okratowanych oknach, przedzielonych na dwie części: mniejszą - skąd było wyjście na zewnątrz i większą, gdzie były tylko ławki dla więźniów. Obie części dzieliły zaryglowane drzwi.

c.d.n.